

Magia języka¹

Mówiąc w pewnym skrócie i uproszczeniu, wiara w magię polega na przekonaniu, że niektóre odpowiednio wybrane formuły (słowa, zdania) języka, a szerzej - rozmaite znaki, symbole i czynności, w tym także gesty, znaki graficzne oraz złożone rytuały i ceremonie, posiadają moc sprawczą w rzeczywistym, materialnym (lecz także psychicznym) świecie. Zgodnie z tą wiarą zaklęcia magiczne mogą spowodować przesunięcie przedmiotów, wywołać błyskawicę albo spowodować chorobę człowieka lub zwierzęcia, nakłucie drzazgami podobizny wroga ma na celu wywołać jego śmierć, tajemne znaki umieszczone na ścianach lub drzwiach chronią przed złymi demonami, a zauroczenie jest w stanie zmienić stan emocjonalny zauroczonego. Generalnie, „rzucanie czarów” powołuje do istnienia (lub unicestwienia) rozmaite rodzaje bytów, zjawisk, obiektów i procesów. O ile wiedza (np. potoczna lub naukowa) mówi coś (z definicji) o realnym świecie, stanowi mniej lub bardziej adekwatny obraz obiektywnej rzeczywistości, o tyle magia „stwarza” nową rzeczywistość, nie mającą z tą „prawdziwą” nic (lub prawie nic) do czynienia. Oczywiście, stwarza tylko pozornie, w przekonaniu osób wierzących w jej moc.

Otóż tezą niniejszego artykułu jest to, że nie tylko *stricte* magiczne zaklęcia i formuły, ale w pewnym bardziej ogólnym epistemologicznym sensie cały język w swej istocie odgrywa w procesie poznawania otaczającej nas rzeczywistości rolę magii. Język, mający opisywać świat, służyć komunikacji na jego temat, w istocie poprzez swą naturę współtworzy obraz tego świata, w niektórych dziedzinach obraz ów całkowicie dominując. Tak jak magia miała „powoływać do życia” rozmaite byty i zjawiska, tak język „powołuje do życia” ostre, „skwantowane” fakty i relacje w obrębie ciągłego w swojej istocie świata, a często w (prawie) zupełnym od tego świata oderwaniu. Dodatkowo, zgodnie z koncepcją Sapira i Whorfa, poszczególne języki etniczne, poprzez swoją strukturę gramatyczną (lecz także słownictwo), kształtują obraz rzeczywistości na nieco (często bardzo) odmienne sposoby. Może to spowodować, że obrazy te są w dużym stopniu do siebie nieprzystawalne. Zaproponowana przez Quine’a niemożność idealnego przełożenia na siebie dwóch różnych języków etnicznych (tak zwane niezdeteminowanie przekładu) wydaje się w istocie, po pewnym zastanowieniu, wręcz trywialnie prawdziwa. Oczywiście na swoistość obrazu świata spowodowaną przez specyfikę języka etnicznego nakłada się swoistość będąca pochodną wychowania w takiej a nie innej kulturze (której język etniczny jest oczywiście częścią), a także indywidualne (wrodzone i nabyte) cechy mózgu i umysłu danej osoby.

Jednakże w niniejszym artykule nacisk zostanie położony na co innego. Otóż milcząco zakładano praktycznie od zawsze, że słowa i zdania języka odpowiadają rozmaitym obiektom, bytom, aspektom i procesom świata. Najbardziej *explicite* tezę tę sformułował (wczesny) Wittgenstein, twierdząc, że język odnosi się (a przynajmniej

¹ Wiele z problemów poruszanych w niniejszym artykule omawiałem znacznie obszerniej w moich książkach: „Absolut - odniesienie urojone”, „Trzy ewolucje” i „Od neuronu do (samo)świadomości”. Niektóre używane tutaj argumenty są podobne lub wręcz identyczne. Czytelników, które znają powyższe pozycje proszę o pewną dozę wyrozumiałości, ponieważ moim celem było napisanie artykułu w dużej mierze autonomicznego, nie wymagającego znajomości innych pozycji mojego autorstwa.

powinien odnosić się) do faktów świata. Zdania języka, które się do tych faktów jasno i jednoznacznie nie odnosiły Wittgenstein eliminował jako bezsensowne. Na zdaniach pozostających w bezpośredniej relacji z faktami filozof ten, a także sympatyzujący z nim neopozytywiści, chcieli oprzeć wszelką racjonalną wiedzę, a w szczególności naukę. Pomijając już fakt, że podejście takie odrzucało jako niedopuszczalne większość teorii naukowych (i praktycznie całą filozofię), nikomu nie udało się jasno zdefiniować, co to są „fakty świata”. W „Tractatus logico-philosophicus” Wittgenstein nie rozwiązał tego problemu, odkładając go, jako niezbyt istotny, „na później”.

Taki zerojedynkowy podział zdań językowych na korespondujące z faktami świata i nie mające z tymi faktami nic wspólnego uważam za horrendalną wręcz pomyłkę. Rzeczywisty stan rzeczy wygląda całkowicie odmiennie. Obiekty, aspekty i zjawiska świata (a więc, ogólnie mówiąc, dyskutowane „fakty”) opisywane przez słowa i zdania języka tak naprawdę w sposób autonomiczny i absolutny w ogóle nie istnieją. Jeśli więc mówimy, że jedliśmy dzisiaj na obiad sushi, że dinozaury wyginęły ponad 60 milionów lat temu lub że pomiędzy ciałami obdarzonymi masą działa siła grawitacji, to nie wypowiadamy zdań o faktach w sposób bezwzględny prawdziwych lub fałszywych (względnie obiektywnie „istniejących” lub „nieistniejących”), lecz dokonujemy pewnego zgrubnego i przybliżonego opisu ciągłej w swej istocie rzeczywistości. Teza ta na pierwszy rzut oka może wyglądać absurdalnie, ale, jak to postaram się wykazać, argumenty za nią przemawiające są nieodparte.

Zastanówmy się nad faktami świata opisywanymi przez słowa i zdania języka. Rozważmy na początek jakąś konkretną osobę, na przykład pana XY (zanim feministki wyrażą oburzenie, że nie jest to raczej pani XX, śpieszę donieść, iż mój wybór płci wynika w dużym stopniu z rodzaju operacji, jakich będę dokonywał na rzeczonej osobie, na przykład rozbierał ją semantycznie; nie śmiałbym w ten sposób postąpić z damą). Czy osobnik ten (może to być zresztą nieżyjący już, lecz często wykorzystywany przez logików i filozofów Juliusz Cezar) w sposób jakoś absolutny i bezwzględny istnieje (lub istniał) (a zatem stanowi ostro i jasno wydoreźniony „fakt świata”)? Na czym właściwie polega jego „istnienie”, tożsamość? Dla rozgrzewki zacznijmy od materii, z której jest zbudowany, od danych konkretnych atomów. Doskonale wiadomo, że, w przeciwieństwie do obiektów nieożywionych, organizmy żywe (włączywszy w to oczywiście ludzi) nieustannie wymieniają materię swojego ciała. Obiekty biologiczne to struktury dyssypatywne - ich istnienie i funkcjonowanie napędzane jest i warunkowane ciągłym przepływem materii, energii i informacji. W ciągu tygodni i miesięcy atomy składające się na ludzkie ciało (a w szczególności na budujące je żywe komórki) zostają z niego wydalone, a w zamian nowe składniki organiczne ciała budowane są z materii przyjętej jako pokarm (jest to jeden z dwóch głównych powodów dla których organizmy, które nie rosną, muszą się odżywiać; drugim powodem jest uzyskanie energii w wyniku spalania przyswojonych związków organicznych przy udziale tlenu - w tym celu musimy oddychać). Pewien wyjątek stanowi szkliwo zębów i (częściowo) składniki mineralne kości. A więc z pewnością to nie dane konkretne składniki materialne stanowią o identyczności obywatela XY. Niewątpliwie jednak, mimo ciągłej wymiany materii, atomy składające się na nasze ciała tworzą cały czas pewną formę, utrzymują daną konkretną strukturę, to jest wzajemny układ atomów rozmaitych pierwiastków (oraz składników ciała na wyższych

poziomach hierarchii złożoności, takich jak makromolekuły, komórki, tkanki i narządy). Problem polega na tym, że struktura ta ewoluuje z wiekiem, od etapu zapłodnionej komórki jajowej (który umownie przyjmuje się za pierwsze stadium rozwoju embrionalnego) do naturalnej śmierci. Musimy więc osłabić nasze kryterium tożsamości danej osoby - to nie o konkretną formę tu chodzi, ale raczej o ciągłość zmian tej formy w czasie. W tym ujęciu pan XY stanowiłby pewną sekwencję form przekształcających się jedna w drugą w czasie życia. Jednakże napotykamy tu kolejny problem. Co się stanie, jeśli zaczniemy ciało pana XY rozczłonkować na części? Zaczniemy niewinnie, od obcięcia mu włosów i paznokci. Oczywiście nadal będziemy uważać, że mamy do czynienia z XY-iem. Nawet znacznie bardziej drastyczna amputacja kończyny nie odbierze w naszym przeświadczeniu tożsamości XY-owi. To samo można powiedzieć o amputacji dalszych kończyn, lub też przeszczepieniu organów wewnętrznych pochodzących od innych osób, lub wręcz zwierząt (np. świńskiego serca). Nawet gdybyśmy w ten sposób usunęli lub „podmienili” większość ciała XY-ka, większość ludzi uznałaby, że jest to ciągle XY (choć może nie jest to już tak oczywiste). Załóżmy jednak, że jesteśmy w stanie wyizolować bez uszkodzenia i utrzymać przy życiu sam „goły” mózg naszego nieszczęsnego „pacjenta”. Czy to jest ciągle jeszcze XY? Czy w ogóle istnieje dobra odpowiedź na takie pytanie? Otóż odpowiedź ta nie ma w rozważanym kontekście istotnego znaczenia. By to wyjaśnić, zaczniemy ponownie od nieuszkodzonego XY-ka i usuńmy z jego ciała jeden atom. Niewątpliwie nadal będzie to XY. Oczywiście to samo będzie, gdy zrobimy to z dwoma, trzema lub czterema atomami. Ale przecież w końcu, będąc wystarczająco konsekwentni, możemy w ten sposób całkowicie rozebrać XY-ka na atomy. Nawet, jeśli „na deser” pozostawimy izolowany mózg ofiary naszych deliberacji, w końcu stopniowa dezintegracja dotknie także ten organ. A zatem w którymś momencie, po odebraniu odpowiedniej liczby atomów, usunięcie kolejnego atomu doprowadzi do przekształcenia się XY-ka w nie-XY-ka. Nieważne gdzie, arbitralnie, przeprowadzimy tę granicę - w każdym przypadku będzie ona wyglądała całkowicie sztucznie. Przecież ten jeszcze-XY przed odebraniem kolejnego atomu różni się o wiele bardziej od wyjściowego XY-ka, niż od już-nie-XY-ka powstałego po odebraniu atomu. Tego rodzaju paradoksami obdarza nas właśnie magia języka, narzucająca dyskretne, pozornie doskonale dookreślone i wyodrębnione „fakty”, takie jak „XY”, ciągłemu w swej istocie światu. Oczywiście kiedy w trakcie rozbierania XY-ka na atomy dobierzemy się w końcu do jego mózgu, kiedy zaczną znikać kolejne połączenia nerwowe i neurony, powoli zacznie się także rozplýwać psychika XY-ka. Nie będzie to nagły akt zniknięcia „duszy”. Świadomość człowieka może ulec podziałowi na dwie, prawie zupełnie niezależne od siebie świadomości, kiedy przeprowadzi się operację kallotomii (przecięcia spoidła wielkiego łączącego dwie półkule mózgowe), którą kiedyś leczono epilepsję. Duże zmiany charakterologiczne (różne, ale generalnie polegające na zubożeniu mentalnym) mogą zachodzić w wyniku uszkodzeń rozmaitych części mózgu, a zwłaszcza kory czołowej (uszkodzenie innych części upośledza rozmaite funkcje poznawcze)². Alkoholizm i narkomania, wiążące się z postępującą

² Szerzej omawiam to w artykule „Podglądanie umysłu i co z tego wynika” zamieszczonego na łamach „Racjonalisty”.

degeneracją różnych obszarów mózgu, prowadzą do stopniowej degeneracji osobowości. Podobny jest efekt choroby Alzheimera, Parkinsona, lub (niestety) po prostu zaawansowanej starości. Odbieranie atomu po atomie spowoduje, że przejście pomiędzy w pełni wyrażoną świadomością a nicością psychiczną będzie płynne, „łagodne” i ledwie zauważalne, tak jak blaknięcie barw na starej fotografii. Zresztą, podobnie jak struktura (forma) ciała, „zawartość” psychiki zmienia się na przestrzeni całego życia człowieka. W przeciwieństwie do formy ciała, może ona ulegać nagłemu przestawieniu na zupełnie inne tory, kiedy światło świadomości (kierowane zjawiskiem uwagi) nieoczekiwanie ogarnia coraz to nowe i nowe „obiekty mentalne”, przeskakuje z jednej myśli na drugą (lub z jednego wrażenia na drugie), choć niewątpliwie „ogólna psychika potencjalna”, czyli szeroko rozumiane cechy osobowościowe, ewoluje znacznie wolniej.

Zamiast rozkładać XY-ka na atomy, możemy też stopniowo, postępując bardzo drobnymi krokami, tak zmieniać jego strukturę i funkcję, aby docelowo przekształcić go w innego mężczyznę, nazwijmy go XY2, o zupełnie innej aparycji i psychice. Dokonując nieco bardziej drastycznych modyfikacji, możemy dokonać transformacji pana XY w panią XX. Postępując dalej, tę z kolei można by zmienić w cokolwiek dowolnie innego, na przykład stworzyć rodem z Archiwum X.

Podsumowując wszystko powiedziane powyżej, XY nie istnieje jako absolutnie określony, o jasno zdefiniowanej tożsamości, obiekt lub fakt (lub nawet proces) świata, i to zarówno w aspekcie materialnym, jak i psychicznym. Rozbierając naszego „pacjenta” fizycznie, rozbieramy go też semantycznie. Powołanie XY-ka z ontologicznego niebytu do niepodważalnej egzystencji to magiczna sztuczka języka. Obywatel ten okazuje się być jedynie pewnym luźno, intuicyjnie i tylko z grubsza określonym, „rozmytym” zbiorem stanów. Mówiąc krótko, tak naprawdę pan XY w sposób ostry i absolutny po prostu nie istnieje.

Obywatel XY to niewątpliwie byt indywidualny. A co z bytami ogólnymi, takimi jak na przykład kategoria „człowiek”, do której XY w naszym przekonaniu bezsprzecznie należy? Czy takim kategoriom można odmówić statusu absolutnej i autonomicznej egzystencji? Bez wątplenia tak, i to w sposób jeszcze znacznie bardziej zdecydowany i uzasadniony, niż bytom indywidualnym. Po pierwsze, człowiek powstał w trakcie ewolucji biologicznej z małpy (niedawno znaleziono skamieniałości gatunku nazwanego Sahelanthropus, prawdopodobnie blisko spokrewnionego ze wspólnym przodkiem szympansa i człowieka) (proszę mi tylko nie opowiadać nedorzecznosci rodem ze szkoły, że człowiek miał jedynie wspólnego przodka z małpą; jest to kompletna hipokryzja – gdyby ten przodek żył obecnie, niewątpliwie zostałby zaliczony do małp). Proces ewolucji jest procesem ciągłym (choć okresowo zwalnia i przyspiesza) i w ciągu przodków człowieka żadna niearbitralną decyzją nie można wskazać punktu, w którym nie-człowiek przekształcił się w człowieka. To tak, jakby dwoje małpich rodziców nagle ni stąd ni z owąd spłodziło człowieka. Dotyczy to także wyłonienia się (samo)świadomości (o ile założymy, co wcale nie jest takie oczywiste, że np. szympanś żadnych jej zaczątków jeszcze nie posiada). Ośmielę się zresztą wysunąć tezę, choć jest to bardzo niepoprawne politycznie, że różne żyjące obecnie grupy etniczne nie reprezentują dokładnie tego samego rodzaju i „poziomu” rozwoju ewolucyjnego psychiki (jest to z zasady niemożliwe, ponieważ przez długi czas

ewoluowały one w izolacji i w odmiennych warunkach). Przy tym rozmaite grupy mogą wykazywać większe uzdolnienia, oczywiście statystycznie rzecz biorąc, w rozmaitych dziedzinach. Podziwiając ogrody Zen lub świątynki shinto wciśnięte pomiędzy drapacze chmur, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że Japończycy mają szczególne upodobanie i uzdolnienia w skupianiu się na szczegółach (oczywiście możliwe jest, że ma to źródło kulturowe, a nie genetyczne; z drugiej strony, czy genetyka nie sprzyja tworzeniu takiej a nie innej kultury?). Po drugie, w czasie ontogenezy (rozwoju embrionalnego) człowiek w swoim aspekcie fizycznym i, przede wszystkim, psychicznym, stopniowo wyłania się ze stadium zarodka (przy czym wcale nie jest oczywiste, czy oba te aspekty pojawiają się w sposób doskonale zsynchronizowany). Dogmat religijny jako absolutny początek człowieczeństwa określa moment zapłodnienia (połączenie się plemnika z komórką jajową i utworzenie zygoty), w którym to momencie zapłodniona komórka jajowa obdarzona zostaje duszą. Jednakże, zapłodnienie to nie żaden „moment”, ale wieloetapowy, rozpisany na poszczególne zdarzenia i rozciągnięty w czasie proces (a więc, zgodnie z osią przewodnią niniejszego artykułu zapłodnienie nie jest żadnym absolutnym faktem świata; natomiast chciałaby go takim widzieć skrajnie magiczna ze swej natury religia). Po pierwszym podziale zygoty dwie powstałe w jego wyniku komórki mogą się rozdzielić i dać początek dwóm bliźniakom jednojajowym. Czy zatem bliźniaki takie mają przez całe swoje życie jedną duszę, czy też dusza jest podzielna? Z rzadka zdarza się, że zygota w wyniku rozwoju embrionalnego przekształca się nie w noworodka, ale w niezróżnicowaną kulę komórek. Co z duszą i człowieczeństwem takiej kuli? O ile można (choć wydaje się to kompletnie jałowe) dyskutować o biologicznym, strukturalno-funkcyjnym początku człowieka trakcie ontogenezy, to jest oczywiste, że jego aspekt psychiczny może się wyłonić dopiero po uformowaniu się funkcjonalnych neuronów, a więc w raczej późnym okresie rozwoju embrionalnego. Z pewnością dorosły szympanś posiada bogatsze życie mentalne (jakkolwiek by go nie definiować), niż zapłodniona ludzka komórka jajowa. Wiele etapów rozwoju zarodkowego (szczególnie początkowych) jest u szympanśa i człowieka bardzo podobnych. Na przykład w pewnym stadium zarodek obu gatunków posiada szczeliny skrzelowe i ogonek - pozostałość po naszych rybich przodkach. Teza, wyznawana przez fanatycznych przeciwników aborcji, że embriion na tym etapie jest już człowiekiem, zakrawa na skrajną hipokryzję, w szczególności kiedy nie mają oni nic przeciwko zjedzeniu wigilijnego karpia. A wszystko to wynika z siły magii dogmatów – niezwykle potężnych, acz sztucznie stworzonych „faktów” świata z pretensjami do absolutu. Oczywiście „dusza” stanowi sztandarowy wręcz przykład powołania do istnienia urojonego bytu poprzez ukucie odpowiadającej mu nazwy językowej.

Jednakże, powyższe przykłady semantycznego niedookreślenia kategorii (bytu ogólnego) „człowiek” to jedynie nieliczne z ogromnej ilości rodzajów niedookreślenia. Otóż możemy wyobrazić sobie obiekty, fenomeny różniące się w dowolnie dużym (lub małym) stopniu pod względem jednej lub wielu z nieprzebranej ilości cech, które charakteryzują kategorię „człowiek” (pomijam tu pytanie, czy byłyby to twory funkcjonalne biologicznie). W obecnym okresie na naszej planecie kategoria ta wydaje się w miarę dobrze wyodrębniona i określona, ponieważ nie istnieją tu i teraz żadne „byty” bardzo podobne do człowieka (na przykład nasi bezpośredni przodkowie: *Homo habilis* lub australopiteki). Jednakże nie oznacza to, że takie byty nie mogą istnieć w

zasadzie. Można sobie na przykład wyobrazić, że na innych planetach we Wszechświecie wyewoluowały (choć jest to niesamowicie mało prawdopodobne) organizmy dowolnie bardzo przypominające ludzi, lecz różniące od nich pod względem rozmaitych zespołów cech. W wielowymiarowym *continuum* takich możliwych organizmów ściśle wyodrębnienie i zdefiniowane kategorii „człowiek” wydaje się po prostu niemożliwe, tak jak ściśle (z nieskończoną dokładnością) wyodrębnienie purpury na ciągłej w swej istocie palecie barw (choć to ostatnie wydaje się o niebo prostsze ze względu na jednowymiarowość różnicy).

Zatem, analizując byty ogólne, kategorie, ponownie okazuje się, że są one stwarzane przez magię języka, a w tym przypadku magię nazw „desygnujących” takie byty. Jednakże, ta desygnacja jest o tyle pozorna, że desygnowane kategorie w najlepszym razem istnieją jedynie w sposób rozmyty, przybliżony, intuicyjny, a nie ściśle określony.

Podobną analizę możemy przeprowadzić w stosunku do bytów biologicznych, lecz pozbawionych świadomości oraz bytów nieożywionych. Chodzi tu zarówno o dane konkretne obiekty (dane konkretne jabłko, planeta Ziemia, kamień) lub kategorie obiektów (jabłko jako gatunek owocu, planeta jako kategoria obiektów astronomicznych). Myślę, że Czytelnik nie będzie miał żadnych problemów z przeniesieniem powyższego rozumowania przeprowadzonego w odniesieniu do człowieka na wspomniane obiekty/kategorie. Jako ciekawostkę można tu dodać, że niedawno Pluton został przez gremium uczonych pozbawiony statusu planety; jednakże decyzja ta nie została podjęta jednomyślnie, a przyjęte kryteria wzbudziły kontrowersje.

Poważniejszy problem napotykamy w przypadku takich niepodzielnych (przynajmniej wedle dzisiejszej wiedzy) obiektów, jak cząstki elementarne, na przykład foton, elektron lub jeden z kilku wyróżnionych rodzajów kwarków. Ponieważ są one niepodzielne, nie możemy odejmować od nich elementów. Wszystkie np. elektrony są „takie same” (mają takie same właściwości, np. ładunek, masę spoczynkową lub spin [choć nie jego znak]). A więc wydaje się łatwe wyróżnienie kategorii obiektów „elektron”, jak i jednoznaczne wskazanie danego konkretnego elektronu. Przy bliższym spojrzeniu pojawiają się jednak pewne wątpliwości. Elektrony zajmują różne miejsca w przestrzeni, a więc nie można w zgodzie ze stanem rzeczywistym powiedzieć, że wszystkie właściwości poszczególnych elektronów są takie same (inne jest np. natężenie pola elektrycznego lub grawitacyjnego w ich sąsiedztwie). Kiedyś pojawiła się koncepcja, że wszystkie elektrony to *de facto* zwielokrotnione „odbicia” jednego elektronu (a pozytony - antycząstki elektronu - są elektronami poruszającymi się wstecz w czasie). Jednakże koncepcja ta wydaje się obecnie mocno przejrząca (wymagała ona przyjęcia założenia, że istnieją równe ilości materii i antimaterii) i jej przywoływanie mogłoby się komuś wydać naciąganiem faktów do przyjętej tezy. Idźmy więc dalej. Poruszające się elektrony mają masę większą, niż elektrony spoczywające. Nie do końca rozumiemy, czym jest foton lub elektron. Wedle (standardowej) mechaniki kwantowej zachowują się one zarówno jak fale, jak i punktowe cząstki. Jako fala np. foton lub elektron może przechodzić przez dwie szczeliny naraz, a w ogóle jego położenie i prędkość określona jest jedynie z pewnym przybliżeniem, przy czym im dokładniej znamy położenie, tym mniej informacji mamy o prędkości (pędzie) i odwrotnie. Ale tak się dzieje tylko do momentu detekcji elektronu przez jakąś aparaturę,

kiedy to następuje tak zwana redukcja funkcji falowej i elektron zostaje zlokalizowany w jakimś konkretnym miejscu w przestrzeni. Nikt nie ma pojęcia, co taka redukcja oznacza. Tak zwana koncepcja dekoherencji mówi, że im silniej elektron (lub foton) oddziałuje z otoczeniem, tym bardziej traci on swoje właściwości falowe, staje się tym mniej „rozmażany” w przestrzeni. A więc właściwości cząstek elementarnych nie przynależą do nich samych, są także pochodną innych „obiektów”. Dwie cząstki elementarne, na przykład dwa fotony lub para elektron-pozyton, które powstają razem w wyniku określonych procesów kwantowych, stanowią do pewnego stopnia swego rodzaju całość (tzw. splątanie kwantowe). Oznacza to, że właściwości tych cząstek są ze sobą związane, chociaż żadna cząstka z osobna nie ma tych właściwości ściśle zdeterminowanych. Jeśli cząstki takie rozbiegną się w przeciwnych kierunkach i znajdą od siebie w odległości, powiedzmy, jednego miliona lat świetlnych, to określenie takich właściwości dla jednej cząstki automatycznie i natychmiastowo określa właściwości drugiej cząstki (np. jeśli jakaś właściwość dla jednej cząstki przybiera wartość 1, to dla drugiej cząstki - 0). Innymi słowy, cząstki (ich właściwości) są ze sobą skorelowane - stanowi to przejaw tak zwanej nielokalności mechaniki kwantowej. Otóż w przeszłości Wszechświata, a w szczególności tuż po Wielkim Wybuchu, pary cząstek wielokrotnie ulegały kreacji oraz anihilacji, a więc mamy podstawy przypuszczać, że wszystkie one są wzajemnie ze sobą skorelowane. A wobec tego właściwości cząstek elementarnych określone są przez kontekst wszystkich innych cząstek elementarnych. W istocie, sprawa jest jeszcze bardziej zagadkowa. Otóż, przynajmniej wedle niektórych koncepcji, dodatnia energia związana z materią dokładnie równoważy ujemną energię wynikającą z oddalenia od siebie ciał obdarzonych masą w przestrzeni i wobec tego całkowita energia Wszechświata jest zerowa. Zatem można powiedzieć, że w Wielkim Wybuchu powstała jedynie informacja o wzajemnym rozdzieleniu się materii i przestrzeni. Wobec tego istnienie materii, a więc także cząstek elementarnych, byłoby zależne od istnienia przestrzeni. A w ostatecznej instancji istnienie czegokolwiek byłoby zależne od istnienia czegokolwiek innego. A więc np. elektron nie jest ani całkowicie autonomicznym obiektem (ani tym bardziej kategorią obiektów), który można analizować i któremu można przypisać jednoznaczne właściwości w izolacji od innych obiektów. Modna ostatnio teoria superstrun twierdzi, że wszystkie cząstki elementarne to takie same, tylko drgające w rozmaity sposób małe struny (z czego te struny miałyby się składać teoria ta jednak, niestety, nie mówi). Przynajmniej do pewnego stopnia mamy zatem do czynienia z nie do końca określonym pojęciem, z nazwą magiczną, która stwarza pozory absolutnego i niezawisłego istnienia elektronów o określonych, jednoznacznych właściwościach. Mówiąc krótko, mając nazwę, wydaje nam się, że wiemy, co to jest elektron, osławiamy otaczającą go tajemnicę. Przy tym należy pamiętać, że, jak to dyskutuję poniżej, nazwy i pojęcia rozwinięte w ramach nauk ścisłych i przyrodniczych i tak znacznie lepiej korespondują z różnymi aspektami i obiektami świata rzeczywistego, przystają do zewnętrznej rzeczywistości, niż te egzystujące na przykład w obrębie religii czy filozofii. Są przez to relatywnie znacznie mniej magiczne.

A co z językami matematyki i logiki, zdawałoby się najbardziej ścisłymi i jednoznacznymi ze wszystkich języków? Czy nie są one przez tą ścisłość i jednoznaczność najmniej magiczne? Cóż, zależy jak na to spojrzeć. Większość

matematyków i logików wierzy, że ich dziedziny i obiekty, którymi się zajmują, takie jak sylogizmy logiczne, liczby, zbiory, funkcje, arytmetyki i geometrie istnieją niezależnie od naszej materialnej rzeczywistości, w świecie idealnych bytów platońskich. Jeśli jednak ktoś, tak jak ja, uważa, że świat platoński jest ułudą, pustą nazwą, język logiki i matematyki byłby (w pewnym sensie przynajmniej) najbardziej magicznym ze znanych nam języków, powołującym do istnienia całe niezależne *universa*. Zaczniemy od logiki. Jej prawa rozumowania wydają się trywialne aż do oczywistości, na przykład zasada przechodniości identyczności mówiąca: jeżeli A jest identyczne z B i B jest identyczne z C, to A jest identyczne z C, albo stwierdzenie, że zdanie „A w ilości (liczbie) B znajduje się w obrębie C” jest albo prawdziwe, albo fałszywe. Jak dotąd wszystko wydaje się w porządku. Problem zaczyna się w momencie, gdy za A, B i C zaczniemy podstawić realne lub możliwe do pomyślenia byty. Rozważmy zdanie „A jest identyczne z B”. Co to znaczy „identyczne”? Czy jeśli jedno jabłko różni się od drugiego chociaż jednym atomem, jest z nim identyczne, czy nie? A jeśli skład atomowy jest rzeczywiście taki sam, to czy różnica w położeniu przestrzennym nie robi jednak różnicy? Przecież taka różnica oznacza inne usytuowanie w stosunku do rozmaitych obiektów, inne natężenie pola grawitacyjnego, i tak dalej, i tak dalej. Jak to dyskutowałem powyżej, cechy identyczności nie można zastosować nawet w relacji do cząstek elementarnych, także do tych składających się na dyskutowane jabłka. A zatem to pozornie niewinne zdanie jest bezsensowne, wręcz logicznie niemożliwe do poprawnego sformułowania. Sytuacja opisana przez analizowane zdanie może zaistnieć jedynie dzięki magii języka.

Weźmy inne zdanie: „w tym koszyku są dwa jabłka” (będące egzemplifikacją ogólnego zdania: „w obrębie obiektu A jest liczba B obiektów C”). Zgodnie z przeprowadzoną powyżej analizą, nie da się w sposób absolutny zdefiniować ani jabłek, ani koszyków. Zdanie to nie może być zatem ani bezwzględnie prawdziwe, ani całkowicie fałszywe (a więc nie może przybrać wartości logicznej 1 lub 0, lecz jedynie jakąś wartość pośrednią). Podobnie nie da się ostro zdefiniować relacji „bycia w” - co bowiem zrobić z sytuacją, jeśli jeden atom wystaje poza koszyk? Na deser zostawmy sobie liczbę „dwa”, tym bardziej, że bezpośrednio nawiązuje ona do matematyki. Skoro nie istnieją ostro zdefiniowane obiekty, liczby nie mają czego liczyć w naszym rzeczywistym świecie, a świat platoński jest, jak to wspomniałem, urojeniem naszego umysłu spowodowanym przez „faktotwórczą” magię języka. Generalnie, obiekty i relacje logiczno-matematyczne stanowią wyekstrahowane i poukładane w rozmaite kombinacje elementy naszego świata. Tak jak z dwóch jabłek, dwóch kóz itd. została wyabstrahowana liczba dwa, tak napięty sznurek posłużył za pierwowzór dla linii prostej, a dwa skrzyżowane pod możliwie największym kątem kije dały początek pojęciu kąta prostego. Oczywiście współczesna matematyka operuje na znacznie bardziej złożonych i wysublimowanych obiektach, niż liczba lub linia prosta. Nie ma też „jednej matematyki”: współlistnieją w jej obrębie rozmaite konkurencyjne (alternatywne) konstrukty, takie jak geometria euklidesowa i nieprzebrane bogactwo geometrii nieeuklidesowych. Istnieje wiele alternatywnych logik. Większość z tych matematyk i logik wydaje się mieć niewiele wspólnego z naszym realnym światem, chociaż niektóre mogą okazać się niespodziewanie bardzo użyteczne do opisu pewnych aspektów fizycznej rzeczywistości. Uważam jednakże, że wszystkie one są wynikiem

ułożenia w rozmaite kombinacje klocków pojęciowych i językowych zaczerpniętych mniej lub bardziej bezpośrednio z codziennego doświadczenia, a także ze struktur neuronalnych w naszym mózgu obrabiających sygnały pochodzące od receptorów³ (podobnie, najprawdopodobniej te same klocki - atomy i molekuly – można potencjalnie ułożyć w rozmaite konfiguracje odpowiadające funkcjonalnym organizmom żywym, jakich nie znamy na Ziemi; nie znaczy to jednak, że organizmy te należą do jakiegoś świata platońskich idei). Sądzę zresztą, że niektóre przynajmniej (jeśli nie wszystkie) pojęcia matematyczne wyekstrahowane przez człowieka są wewnętrznie sprzeczne: dotyczy to na przykład pojęcia nieskończoności (także nieskończenie małych punktów). W istocie, jak to jest możliwe, że nieskończona ilość nieskończenie małych punktów raz daje trzy centymetry, a innym razem pięć (dla porządku dodam, że ogromna większość matematyków uważa ten problem za dawno przewyższony; świadom tego, pozwolę sobie się z nimi nie zgodzić). Cantorowska (powszechnie obecnie przyjęta) koncepcja nieskończoności mówi, że liczb całkowitych jest tyle samo, co liczb parzystych, ponieważ można je jedno-jednoznacznie do siebie przyporządkować w parach, np. 1-2, 2-4, 3-6, 4-8 ... i tak „w nieskończoność”. Jednakże w pewnym istotnym sensie liczb całkowitych jest więcej, niż liczb parzystych, ponieważ jest to prawdą dla każdego skończonego ciągu liczb dłuższego niż jedna liczba. Innymi słowy, w każdym skończonym (i nieskończonym) ciągu liczb liczby całkowite są „gęściej upakowane”, niż liczby parzyste. Dotyczy to w równej mierze także np. liczb całkowitych i ich kwadratów lub sześciątów. Cantorowska koncepcja nieskończoności i równoliczności jest więc jedną z możliwych, a jej powszechna akceptacja stanowi po prostu wyraz pewnej intelektualnej mody. Ogólnie rzecz biorąc, podejrzewam, że pojęcie nieskończoności jest wewnętrznie sprzeczne, czy wręcz bezsensowne – zostało ono zapoczątkowane przez prosty zlepek słowno-pojęciowy, np. : „jeżeli będziemy kontynuować dodawanie liczby 1 do ciągu kolejnych liczb naturalnych, to nigdy nie skończymy”. Jednakże ta „nieskończoność operacyjna” nie implikuje jeszcze jakiejś transcendentnej „nieskończoności realnej”. Wobec tego absolutne fakty matematyczne wcale nie są takie znów „absolutne”⁴. Nawiasem mówiąc, sądę, że dla części matematyków i logików ich dziedzina stanowi pewien substytut religii jako istniejącego gdzieś w (platońskich) zaświatach Absolutu. Upewniają mnie w tym podejrzeniu reakcje niektórych z nich, ocierające się czasem wręcz o rodzaj talibizmu, na wyrażane powyżej poglądy.

Dotychczas omawiana była relacja pomiędzy językiem a światem zewnętrznym, „obiektywną” rzeczywistością. Należy podkreślić, że język nie odnosi się bezpośrednio do świata – pośredniczy w tym sieć pojęciowa oraz leżąca u jej podstawy sieć neuronalna. Jak postuluję to w szczegółach gdzie indziej (patrz przypis 1), „substancją” naszej psychiki jest siatka pojęć będąca mentalnym korelatem sieci połączeń pomiędzy komórkami nerwowymi w naszym mózgu. Sieć ta rozwija się poprzez rozbudowę już istniejącego systemu połączeń spowodowaną napływem sygnałów od receptorów (wrażeń zmysłowych) oraz w wyniku jej autonomicznej aktywności (procesy myślenia).

³ Omawiam to dokładnie w książce „Od neuronu do (samo)świadomości”.

⁴ Dla tych, którzy uważają, że jestem w tego rodzaju poglądach odosobniony, polecam doskonałą książkę Johna D. Barrowa „ π razy drzwi”.

Z kolei sama sieć pojęciowa/neuralna służy jako interpretator napływających wrażeń umożliwiający ich rozumienie, a także przejawia wspomnianą powyżej autonomiczną aktywność. W procesie ewolucji sieci pojęciowej podczas rozwoju osobniczego (ontogenezy) odpowiednio ukierunkowane i zorganizowane procesy poznawcze (których ogólne mechanizmy są wrodzone i ukształtowane przez ewolucję biologiczną) prowadzą do przybliżonego (czasem lepszego, czasem gorszego) odwzorowania w obrębie sieci pojęciowej/neuralnej pewnych aspektów świata zewnętrznego, zwłaszcza tych ważnych dla człowieka jako istoty biologicznej i społecznej. Mówiąc w pewnej przenośni, sieć w ten sposób oplata się wokół rzeczywistości, że poszczególne oka sieci odpowiadają poszczególnym aspektom świata. Gdy na arenę wchodzi język (czy to w trakcie rozwoju osobniczego, czy też ewolucji biologicznej), będący o tyle specyficzną częścią sieci pojęciowej, że ułatwia, poprzez przypisanie ciągłym pojęciom dyskretnych nazw, sprawne operowanie tą siecią jako całością (pomijam tu oczywistą funkcję komunikacji interpersonalnej), aspekty świata, odzwierciedlone jako oka sieci, stają się dyskutowanymi już „faktami” świata. Nazwy języka nie znaczą same z siebie (jest to po prostu z powodów zasadniczych niemożliwe), lecz poprzez leżące u ich podstawy pojęcia (a zatem - fragmenty sieci neuralnej). Pojęcia z kolei znaczą poprzez relacje z innymi pojęciami (nazywa się to znaczeniem przez konotację). To właśnie pojęciowa „podszewka” języka w naszym umyśle (mózgu) sprawia, że rozumiemy język, a nie rozumie go komputer, także operujący na rozmaitych formach języka, a tym bardziej zawierająca przekaz językowy książka.

Relacja korespondencji pomiędzy nazwami języka a „faktami” świata jest zatem dwustopniowa – sieć pojęciowa „oplata się” wokół (różnych aspektów) świata, natomiast nazwy językowe przyporządkowywane są tym elementom sieci pojęciowej – pojęciom – które są najlepiej wyodrębnione, dookreślone, cechuje je największe „nateżenie pola semantycznego”. Innymi słowy, język realizuje swoje znaczenie wobec świata poprzez sieć pojęciową. Nadanie pojęciom nazw z jednej strony znacznie ułatwia manipulowanie pojęciami, porządkując je w struktury gramatyczne i logiczne, z drugiej jednak – powoduje pewną absolutyzację tych pojęć, przekształcenie ich w dyskretnie i pozornie samoistne, niezawisłe byty (albowiem coś ciągłego, częściowo niedookreślonego przekształca się w coś pozornie jednostkowego, niezawisłego, ostro wyodrębnionego). To samo dzieje się oczywiście z aspektami świata reprezentowanymi przez owe pojęcia, które nagle z ciągły bytów połączonych interakcjami z innymi bytami, stają się autonomicznymi „faktami” świata. W ten sposób przejawia się swoista dwoistość języka, który bardzo usprawniając budowanie obrazu świata opartego na pojęciach i efektywne się nim posługiwanie, jednocześnie ten obraz współkształtuje, deformuje, czy wręcz wypacza. Oczywiście omawiany problem „światotwórczej” roli języka dotyczy nie tylko dyskretności nazw językowych, kreującej „proste” fakty świata, lecz także reguł gramatycznych, poprzez które zdania języka narzucają swą strukturę zewnętrznej rzeczywistości, porządkując ją (a właściwie jej obraz w naszym mózgu i umyśle) w swoiste, zależne od rodzaju tej struktury, formy.

W pewnym istotnym sensie sieć pojęciowa jest tworem nadrzędnym w stosunku do języka, odeń pierwotniejszym i obszerniejszym. Jak wspomniałem powyżej, sieć pojęciowa stanowi u człowieka semantyczne „rusztowanie” języka, bez którego ten ostatni nie może istnieć, funkcjonować, a przede wszystkim posiadać znaczeń. U

zwierząt sieć pojęciowa (znacznie prostsza, niż u człowieka) jest pozbawiona „nadbudówki” językowej (jest to zapewne jedna z przyczyn ograniczających złożoność tejże sieci). Poza tym, jak stwierdziłem powyżej, nawet u człowieka jedynie najlepiej wyodrębnione pojęcia posiadają przypisane im nazwy językowe (które zresztą silnie stymulują dalszą ich indywidualizację i rozbudowę), a zatem duże obszary sieci pojęciowej złożone z ledwo zarysowanych pojęć, napomknień o sensach, nie znajdują odpowiednika w sferze języka.

Owo spowodowane przez sieć pojęciową upośrednienie relacji korespondencji pomiędzy nazwami języka i „faktami” świata prowadzi do tym większego „rozejścia się” świata i jego językowego obrazu, odwzorowania. Wynika to z podwójnej nieprzystawalności (a raczej bardzo niedoskonałej przystawalności): sieci pojęciowej do świata zewnętrznego oraz języka do sieci pojęciowej. Wobec tego zaiste zadziwiająca jest dogłębność i powszechność przekonania o istnieniu „ostrych”, jasno wyodrębnionych obiektów, procesów i kategorii o obrębie „obiektywnej” rzeczywistości. Oczywiście wynika to ze zdeterminowanego przez ewolucję biologiczną sposobu funkcjonowania naszego mózgu i umysłu. Język stanowi tak efektywne narzędzie w komunikacji międzyludzkiej i operowaniu siecią pojęciową w procesach myślenia, że opłaca się „przymknąć oko” na jego faktotwórcze, czy też wręcz absolutyzujące „efekty uboczne”. Pierwotnym celem ewolucji biologicznej ludzkiego mózgu i umysłu nie było bowiem doskonalenie wysublimowanych, abstrakcyjnych („filozoficznych”) zdolności poznawczych, lecz czysto instrumentalne usprawnienie funkcjonowanie człowieka w środowisku fizyczno-biologicznym oraz społeczeństwie. Język, będący bardzo sprawnym narzędziem pomocnym w osiągnięciu tego celu, spowodował przy okazji takie uformowanie umysłu, że ma on silną predylekcję do kwantowania ciągłego ze swej natury świata. Dodatkowo, język stawał się tworem coraz to bardziej autonomicznym i zaczynał tworzyć konstrukty (nazwy, przekazy), które miały niewiele, lub zgoła nie miały nic wspólnego z zewnętrzną rzeczywistością. W najprostszych i najbardziej trywialnych przypadkach polegało to na elementarnym krzyżowaniu faktów świata i na tej podstawie tworzeniu faktów nowych; i tak, skrzyżowanie człowieka z ptakiem dawało anioła, a z koniem - centaury. Bardziej wysublimowane operacje tego typu prowadziły na przykład do oderwania sfery umysłowej od sfery cielesnej (materialnej), skutkujące powstaniem „ciał astralnych” lub duszy nieśmiertelnej. A już prym w złożoności owej kombinatoryki elementów językowych, ale i w kompletnym oderwaniu od rzeczywistego świata, wiodą porażające umysły maluczkich swym rozmachem wielkie systemy ontologiczne lub religijne.

Po prostu język, pierwotnie powstały między innymi w celu odwzorowania sieci pojęciowej, a przez to świata zewnętrznego, w czym przydatna była kombinatoryka jego elementów składowych (nazw) oparta na gramatyce, po uzyskaniu pewnej autonomii zaczął eksperymentować z takimi kombinacjami elementów, które nie miały żadnych realnych odpowiedników, jak chociażby wspomniane centaury. Co więcej, potrafił on narzucić owe konstrukty będącej nośnikiem znaczeń sieci pojęciowej, wymuszając na niej niejako wiarę w istnienie „desygnatów” takich kombinacji w świecie zewnętrznym. Nie inaczej powstały wielkie systemy religijne i filozoficzne. Oczywiście upodmiotowiając język dokonując celowego uproszczenia – w rzeczywistości chodzi o bezosobowe procesy zachodzące w leżących u jego podstawy

fragmentach sieci pojęciowej. Pomijam także mechanizmy odpowiedzialne za dobór, selekcję i akceptację oraz kulturowe utrwalenie takich a nie innych kombinacji, nie wspominam o tęsknotach, lękach, potrzebach i po prostu o czystym przypadku. Nie przeczę również, że taka „oszukańcza” (w sensie poznawczym) aktywność może mieć znaczenie przystosowawcze, na przykład pewna mitologia może być użyteczna w integracji społeczeństwa lub wspólnoty plemiennej. Wszystkie te sprawy, niewątpliwie istotne, nie zmieniają jednak roli języka w tworzeniu, poprzez dowolną kombinatorykę elementów, bytów urojonych, o którą mi tutaj głównie chodzi.

Gdy język wchodził do pierwotnych ludzkich społeczeństw, razem z nim jako pasażer na gapę zabrały się takie zjawiska, jak system arbitralnych znaczeń kulturowych, mitologia, religia czy właśnie magia. Magia języka zatem stwarza nie tylko dyskretne fakty w ciągłym świecie, włącza niedookreślone aspekty rzeczywistości w ścisły gorset nazw językowych - ona powołuje także do istnienia zjawiska, którym kompletnie nic w tej rzeczywistości nie odpowiada - duchy przodków, nadprzyrodzone moce, rozmaite bóstwa, rytuały mające pozyskać ich przychylność (modły, składanie ofiar) itp.. A wszystko to przez pragmatyczną i oportunistyczną ewolucję biologiczną, która ukształtowała nasze mózgi do polowania na mamuty i osiągnięcie społecznego sukcesu (a przez to efektywnego rozprzestrzenienie naszych genów), a nie do wiernego i niczym nieskażonego poznawania świata.

Wedle mojej koncepcji, którą obszernie omawiam w książce „Od neuronu do (samo)świadomości”, świadomość w sensie psychicznym i samoświadomość, czyli poczucie własnego „ja” wyłaniają się w wyniku samonakierowania się na siebie ośrodka poznawczego w naszym mózgu. Polegałoby to na tym, że ośrodek ten oprócz odbierania (obrobionych przez ośrodki sensoryczne) sygnałów ze świata zewnętrznego, zaczyna także odbierać sygnały od samego siebie. W ten sposób tworzy on w swoim obrębie model samego siebie, rzutuje w siebie swój własny obraz. Innymi słowy, ma tu miejsce rekurencyjne odwoływanie się do samego siebie. Prawdopodobne wydaje się, że nie jest kwestią przypadku, iż jedyna znana nam istota obdarzona (samo)świadomością - człowiek - posiada wysoko rozwinięty język. Otóż w procesie ewolucji biologicznej (a także w trakcie rozwoju osobniczego) język stanowi dobrego kandydata, jeśli nie aż na źródło (generator) (samo)świadomości, to przynajmniej na „katalizator” jej rozwoju. Język, będący w końcu także elementem sieci pojęciowej, bardzo ułatwia tej sieci odwoływanie się do samej siebie, modelowanie samej siebie, wejście na pewien meta-poziom, orzekanie także o samej sobie (można tu dostrzec analogię ze słynnymi paradoksami logicznymi, w tym z paradoksem kłamcy, antynomią klas Russella i dowodem Gödla). Język jest wszakże swego rodzaju modelem sieci pojęciowej, jego nazwy odpowiadają, jak to omawiałem powyżej, najlepiej wyodrębnionym pojęciom. Bardzo istotną rolę odgrywa sprawność języka w ułatwianiu operowaniem siecią pojęciową, a także formalna struktura języka, która umożliwia odwoływanie się do samego siebie (a więc *de facto* operowanie samym sobą) oraz ostre wyodrębnianie (poprzez nazwanie) pewnego zbioru fenomenów lub procesów. W ten sposób powstaje jeden z najbardziej złudnych faktów świata (tym razem „wewnętrznego”): nasze absolutne, niepodzielne i niezmiennie „ja” stanowiące o naszej

tożsamości, czy wręcz istocie⁵. Stąd niedaleko już oczywiście do duszy nieśmiertelnej, zaświatów, gdzie owa dusza po śmierci zamieszkuje, i podobnych urojeń.

Otóż coś takiego jak jedno absolutne, niepodzielne i niezmiennie ego będące kwintesencją identyczności naszego jestestwa po prostu nie istnieje. Ponieważ stoi to w sprzeczności z naszym codziennym subiektywnym odczuciem i obiegowymi poglądami, poświęcę temu problemowi kilka słów. Zacząć trzeba od tego, że „ja” rozumiane jako (samo)świadomość nie dzieli od „nie-ja” żadna absolutna granica - wyłoniło się ono w trakcie ewolucji biologicznej człowieka i każdorazowo wyłania się z psychicznego niebytu w trakcie rozwoju od zapłodnionej komórki jajowej do dorosłego osobnika. Notabene, są powody by sądzić, że w obu przypadkach rozwój ego przebiega równoległe z rozwojem języka, a oba te procesy wzajemnie się napędzają (stymulują), zgodnie z koncepcją przedstawioną powyżej. Znane jest na przykład zjawisko tzw. amnezji wczesnodziecięcej, polegające na tym, że dziecko nie pamięta żadnych (świadomych) wspomnień z okresu przed opanowaniem języka. Po drugie, „zawartość” „ja”, a więc zarówno chwilowa treść, jak i ogólne właściwości psychiki zmienia się w czasie życia człowieka. Człowiek uczy się, nabiera doświadczeń, jego poglądy ewoluują, nabywa nowych śladów pamięciowych, podczas, gdy wiele starych ulega zatarciu. Nawet jeśli abstrahujemy od okresu dziecięcego, to starzec z pewnością nie jest „tym samym człowiekiem”, co młodzieniec, z którego się rozwinął. Jedyne, co ich łączy to pewna ciągłość (mniejsza lub większa) ewolucji cech psychiki (oczywiście istotną rolę odgrywają tutaj ślady pamięciowe). Możliwe są jednak bardziej drastyczne zmiany. W krótkim okresie upojenie alkoholowe lub odurzenie narkotykami znacznie zmienia osobowość. Zresztą wystarczy uświadomić sobie znacznie bardziej „codzienne” przeskakiwanie światła uwagi z jednej rzeczy na drugą lub też wyłączenie samoświadomości podczas snu. Długofalowe i nieodwracalne zmiany (i najczęściej upośledzenie oraz zubożenie) psychiki powodują choroby w rodzaju demencji, Alzheimera, Parkinsona lub syfilisu, a także rozległe uszkodzenia mózgu spowodowane wypadkiem lub wylewem. Często przywoływanym przykładem jest kallotomia (przecięcie spoidła wielkiego łączącego obie półkule mózgu), w wyniku czego powstają dwie prawie całkowicie niezależne jaźnie (każda z nich posiada na przykład swoją „wolną wolę”), które częściowo dziedziczą pewne aspekty psychiki jaźni wyjściowej, chociaż niewątpliwie są wobec niej zubożone. Psychika, wbrew pozorom, nie jest także niepodzielna - posiada wiele „części” i aspektów, które mogą być także wybiórczo uszkodzone w wyniku urazów mózgu. A zatem także tutaj język funduje nam pozornie absolutny fakt świata – nasze własne niezmiennie i niepodzielne „ja”, które w istocie jest ewoluującym zespołem procesów będących podstawą (zawartości) naszej (samo)świadomości, dającym się określić i wyodrębnić jedynie w sposób przybliżony i rozmyty.

⁵ Dla jasności dodam, że nie neguję wyodrębnienia się (epi)fenomeny (samo)świadomości w wyniku pewnej formy funkcjonowania mózgu, tak jak nie zaprzeczam faktowi wyłaniania się (epi)fenomeny życia w wyniku pewnego sposobu (funkcjonalnej) organizacji materii. Poddaję jedynie w wątpliwość istnienie absolutnego, niezmiennego i niepodzielnego „ja” (lub „duszy”), w analogii do negacji istnienia absolutnego faktu świata w postaci pana XY.

Ze względu na brak doskonałej przystawalności zarówno języka do sieci pojęciowej, jak i teź do świata, język jest w stanie opisywać świat rzeczywisty jedynie w sposób przybliżony. Dodatkowo, ze względu na brak odpowiedniej metodologii, przystawalność języka do świata jest znacznie gorsza w filozofii niż, na przykład, w nauce (takie dziedziny jak np. religia stanowią czystą, praktycznie nieskażoną w swej postaci magię). Już w samej nauce, a w szczególności przy próbach unifikacji całej fizyki, nasz aparat pojęciowy oraz język (szczególnie matematyczny) zdaje się napotykać ogromne przeszkody w odwzorowywaniu rzeczywistości. Filozofia wyczerpała swój potencjał w opisie rzeczywistego świata setki, jeśli nie tysiące lat temu. W istocie, w przeciągu kilku ostatnich wieków, jedyny znaczniejszy postęp dokonywał się w obrębie sceptycznej filozofii analitycznej (np. Hume, Kant), kładącej nacisk na nasze ograniczenia w poznaniu świata. Także współczesny ogromny rozwój neurofizjologii jednoznacznie wskazuje, że nie jesteśmy uniwersalnymi maszynami poznawczymi. Co więcej, człowiek ma nieodłączną inklinację do tworzenia na swój własny użytek pojęć odnoszących się do bytów urojonych. Pojęcia takie ulegają niebywałemu wzmocnieniu poprzez przyporządkowanie im odpowiednich nazw językowych. Miało to miejsce w różnego rodzaju mitologiach, religiach, astrologii, alchemii, masonerii, a generalnie, wedle prezentowanego tu ujęcia, w szeroko pojętej magii. We wszystkich tych zjawiskach społecznych ważną rolę odgrywały „właściwe” nazwy, inkantacje, zaklęcia, obrządku czy ceremoniału. Wszystkie one dawały poczucie wtajemniczenia, wiedzy ezoterycznej, przynależności do wybranej i elitarnej grupy. Wszystkie miały dostępem do Najgłębszej i Ostatecznej Tajemnicy. To samo dotyczy w dużej mierze również filozofii. Ona także operuje nazwami i pojęciami urojonymi, którym nic (lub prawie nic) realnego nie odpowiada, w przeważającej większości po prostu bezsensownymi, a w najlepszym razie bardzo słabo zdefiniowanymi. Należą do nich duch, materia, monady, predykat, fakt świata i wiele wiele innych. Filozofia także rości sobie pretensje do prawdy absolutnej. Im wyższego poziomu abstrakcji sięga refleksja filozoficzna, tym mniej wspólnego ma ona ze światem rzeczywistym, tym bardziej jest pozbawiona sensownej treści, tym trafniej można ją określić jako żonglerkę nic nie znaczącymi nazwami.

Z tej przyczyny, jeśli już podejmujemy się dysputy filozoficznej, powinniśmy dokładnie wiedzieć, kiedy dysputę taką należy zakończyć. Inaczej dochodzi po prostu do jałowego terminologicznego „bicia piany”. Chodzi oczywiście o unikanie wchodzenia na wyżyny refleksji filozoficznej tak abstrakcyjnej i „transcendentnej”, że wszelkie stwierdzenia okazują się już czystym pustostółem. Ktoś, kto wyznaje solipsyzm lub, przeciwnie, neguje istnienie świadomości nie rozumie, że pojęcia ducha i materii, nieźle sprawujące się w życiu potocznym, w filozofii nie mają żadnego dobrze sprecyzowanego znaczenia. Dlatego, zamiast zakładać absolutne, magiczne istnienie nazw i pojęć (i faktów świata), lepiej zachować pewne minimum zdrowego rozsądku i wyznaczyć sobie umowną linię, poza którą kontynuowanie dysput filozoficznych traci jakikolwiek sens. Oczywiście zakreślenie takiej umownej linii nie jest łatwe i nikt nie może rościć sobie wyłącznego prawa do znajomości jej przebiegu. Poza tym, łatwo jest (wiem to z własnego doświadczenia) zagalopować się w ferworze dyskusji i przekroczyć ustanowione przez samego siebie granice; dlatego ważne jest, aby konsekwentnie się ich trzymać. W końcu, warto nadmienić, że (ponownie, sędzę po

sobie) świadomość istnienia (i płynności) takiej granicy kształtuje się z czasem, wraz z zagłębianiem się w meandry nauki, filozofii oraz tego, co leży pomiędzy nimi.

Gwoli uczciwości warto stwierdzić (o czym już napomknąłem powyżej), że nauka bynajmniej nie jest wolna od magicznych naleciałości - na przykład fizycy posiadają skłonność do przypisywania zbyt dużej realności twórcom matematycznym, które mają opisywać rzeczywistość, biologowie wierzą w (mniej lub bardziej) absolutne istnienie osobników żywych, astronomowie - gwiazd i planet, itd.. Wspomniałem już zresztą o tym powyżej. Jednakże nauka (mówię tu o naukach ścisłych i przyrodniczych, ang. „science”) jest mimo wszystko najmniej „magiczną” ze wszystkich dziedzin działalności intelektualnej człowieka. Tylko ona posiada bowiem metodologię (z testami eksperymentalnymi na czele), która pozwala na w miarę dobre (choć nie idealne) przypisanie nazw języka (także matematycznego) aspektom i obiektom rzeczywistego świata. Stara się więc opisywać świat, a nie go kreować, co jej się jednak tylko częściowo udaje.

Wracając do magicznych aspektów filozofii, chciałbym jeszcze wspomnieć o, jak je nazywam, „słowach - wytrychach”, to znaczy o nazwach w zasadzie pustych, które jednak w filozoficznym mętniactwie robią wrażenie mądrych i głębokich, i są z lubością używane. Posłużę się jednym przykładem. Neurofizjologowie (oraz badacze z dziedzin pokrewnych) przez dekady prowadzą mozolne studia mające rzucić światło na to, jak (samo)świadomość (sfera psychiczna) wyłania się z funkcjonowania sieci neuronalnej w ludzkim mózgu, a potem pierwszy lepszy filozof, mający z reguły słabe lub żadne pojęcie o neurofizjologii, załatwia sprawę twierdzeniem, że umysł nie może się wyłonić z funkcjonowania materii, ponieważ są to byty „niewspółmierne”. Na podobnej zasadzie dziewiętnastowieczni filozofowie negowali możliwość wyłonienia się życia z materii nieożywionej, ponieważ im się to w głowie nie mieściło, że życie może być jedynie w specjalnym stopniu zorganizowaną kupką atomów, bez żadnej „napędzającej” je vis vitalis. Ogromny postęp dwudziestowiecznej biologii wykazał całkowite nieuprawnienie takiego poglądu. Generalnie, ukształtowany przez ewolucję biologiczną ludzki mózg (dotyczy to nie tylko filozofów, ale również np. fizyków) ma ogromne trudności z „naocznym” uświadomieniem sobie zjawiska złożoności, a także wynikających z niego konsekwencji, w ich liczbie emergencji zjawisk i cech na wyższym poziomie hierarchi złożoności z interakcji elementów na niższym poziomie. Dotyczy to nie tylko takich zjawisk, jak życie czy świadomość. Nie potrafimy nawet szczegółowo prześledzić, jak to jest, że duża liczba kompleksów dwóch atomów wodoru lub tlenu tworzy gaz, natomiast duża liczba kompleksów dwóch atomów wodoru i jednego atomu tlenu tworzy ciecz, wodę, o takich a nie innych właściwościach.

Często można usłyszeć tezę, że każdy powinien się zajmować tym, na czym najlepiej się zna, a w szczególności: naukowcy - nauką, a filozofowie - filozofią. Otóż w tej opozycji pomiędzy nauką a filozofią w żadnym razie nie zachodzi symetria. Równie dobrze można by postulować, aby naukowcy zajmowali się nauką, astrologowie - astrologią, a alchemicy - alchemią. Ewidentna asymetria wynika tu z faktu, że w nauce przymieszka magii języka jest stosunkowo niewielka, natomiast w filozofii, astrologii i alchemii stanowi ona dominujący element tych dziedzin. Naukowiec nie musi znać się na szczegółach astrologii, aby zanegować uprawomocnienie jej twierdzeń. Podobnie,

wystarczy elementarna orientacja w źródłach „wiedzy” i „metodologii” filozofii, aby podważyć jej podstawy. Oczywiście filozofowie, pełniący w ich własnym mniemaniu wysoką funkcję strażników, czy wręcz kapłanów wiedzy tajemnej, nie zgodzą się, aby negował ją ktoś, kto nie przeszedł „inicjacji” (czyli kolejnych stopni kariery uniwersyteckiej w tej dziedzinie), nie poznał odpowiedniej mowy i symboli, nie opanował niedostępnych dla profanów magicznych zaklęć. Trzeba jednak w końcu jasno powiedzieć, że król jest nagi, czyli że studia filozoficzne w takim samym stopniu świadczą o kompetencji filozofii w poznawaniu świata, jak studia teologiczne - o istnieniu Boga. To, w czym są kompetentni filozofowie to (w najlepszym razie) ... filozofia właśnie. Co wcale nie świadczy, że ma ona cokolwiek wspólnego z obiektywną rzeczywistością. Mam tu oczywiście na myśli filozofię bez bardzo solidnej podbudowy naukowej, do której należy, niestety, większość filozofii; zdają sobie sprawę, że pisząc wszystko powyższe sam stają się filozofem; staram się jednak uprawiać filozofią w miarę rozsądną, to znaczy możliwie niewiele oderwaną od rzeczywistego świata i w możliwie niewielkim stopniu posługującą się magią.

Zostawmy jednak filozofię i wróćmy do głównego nurtu rozważań niniejszego artykułu. Jednym z najjaskrawszych przykładów magicznej, faktotwórczej siły języka jest etyka fundamentalistyczna. Jej przykładem może być chociażby bezwzględny zakaz aborcji, oparty między innymi na dogmacie, że zygota to już pełnowartościowy człowiek, obdarzony przez Boga duszą nieśmiertelną w momencie zapłodnienia (ciekawe zresztą, dlaczego tak wzniosły akt, jak zniebozstąpienie w człowieka duszy, ma miejsce w wyniku tak nieczystej, obrzydliwej i grzesznej czynności, jaką jest akt seksualny). Etyka fundamentalistyczna traktuje wszystkie możliwe konflikty moralne „od siekiery”, nadając prawom przez siebie głoszonym status absolutny. Oczywiście życie społeczne jest zbyt złożone, aby dało się je skodyfikować, wcisnąć w gorset prostych, niepodważalnych reguł. Doświadczył tego każdy, kto przeżywał tak zwane dylematy moralne, czyli wszyscy normalni ludzie. A zatem próba skonstruowania absolutystycznej etyki jest po prostu pójściem na łatwiznę, zwolnieniem z obowiązku myślenia i rozterek decyzyjnych, a w istocie rzeczy – ze zwykłej ludzkiej odpowiedzialności. Konsekwentna realizacja „aż do bólu” literalnie nakreślonych zasad moralnych nader często prowadzi do makabrycznych skutków. Nie działałoby się tak, gdybyśmy nie używali magii języka do podnoszenia do statusu faktów (etycznych tym razem) ścierających się często ze sobą motywacji postępowania godziwego i uczciwego.

Język narzuca nam nieodparcie, chociażby poprzez „skwantowany”, dyskretny charakter swoich nazw i zbudowanych z nich zdań, pęd do klasyfikacji, kategoryzacji, szufladkowania wszystkiego, co się da. Był przez to stymulatorem powstania nie tylko wyodrębnionych faktów świata, ale także zbiorów, wszelkiego rodzaju systematyk, hierarchicznych systemów, podziałów na przeciwieństwa i tym podobnych. Stąd rodziło się umiłowanie do porządku, poukładanie elementów świata w proste i zrozumiałe konstrukcje, symetryczne i wyraziste wzory, sztywne i niepodważalne reguły. Paradoksalnie, to samo zamiłowanie do prostego, uniwersalnego, a najlepiej absolutnego i jedyne go możliwego porządku dało początek zarówno astrologii, alchemii, magii, filozofii i religii, jak i nauce. Główna różnica polegała tu na tym, że te pierwsze czerpały głównie lub wyłącznie ze skanalizowanej przez język twórczości

naszego umysłu zdanego jedynie na własne inwencje, życzenia i lęki, podczas gdy nauka prym przed nieskrępowanymi spekulacjami „czystego rozumu” dała empirii, czyli konsekwentnemu badaniu świata zewnętrznego i bieżącemu konfrontowaniu radosnej twórczości umysłu z obserwacjami i przeprowadzonymi eksperymentami. Owa skromność pozwoliła refleksji naukowej zająć, choć powoli, krok po kroku i przy wielu pomyłkach, znacznie dalej i w znacznie bardziej wiarygodny sposób.

Zmierzając powoli ku końcowi chciałbym rozpocząć podsumowanie i rzec, co następuje. Każde słowo i zdanie języka to magiczne zaklęcie: z niczego, z ciągłego ze swej natury spektrum zjawisk składających się na rzeczywisty świat tworzy absolutne, „ostre” i dyskretne byty, fakty, obiekty, osoby Nazwanie jakiegoś bytu (nadanie mu nazwy) *de facto* powołuje ten byt do istnienia. Pół biedy, jeśli ten byt odpowiada jakiemuś w miarę dobrze wyodrębnionemu aspektowi świata, jak to ma miejsce w nauce czy w sferze potocznej. Gorzej, kiedy język tworzy byty, „fakty” całkowicie fikcyjne, urojone, co jest domeną magii, astrologii, religii i dominującej części filozofii. Mam tu na myśli nie tylko „czyste” wymyślanie bytów nie mających żadnych (lub prawie żadnych) odpowiedników w rzeczywistości, jak monady lub anioły, lecz także konstrukty językowe (i, co za tym idzie, semantyczne) bardziej złożone. Jednym z moich ulubionych przykładów są byty ogólne odpowiadające rozmaitym zbiorom elementów. Wydaje się oczywiste (przynajmniej dla mnie), że byty takie istnieją jedynie jako nazwy językowe (i odpowiadające im pojęcia) w naszym umyśle. Dosadnym wyrazem bezsensowności (a przynajmniej niepełnej sensowności) takich konstruktyw jest antynomia Russella, polegająca na tym, że zarówno prawdziwa, jak i fałszywa odpowiedź na pytanie: „czy zbiór wszystkich zbiorów nie będących swoimi elementami, jest swoim własnym elementem” prowadzi do sprzeczności. Mniej znany, lecz równie efektowny przykład stanowi „zbiór wszystkich zbiorów”. Otóż okazuje się, że ten pozornie klarowny i bez problemu zrozumiały konstrukt jest pozbawiony jakiegokolwiek sensownej treści. A to dlatego, iż udowodniono, że zbiór wszystkich podzbiorów danego zbioru niepustego jest zawsze większy od tegoż zbioru, a więc musi istnieć zbiór większy od „zbioru wszystkich zbiorów”. Podobne konstrukty językowe pozornie tylko wypełnione realną treścią nagminnie występują w religii. Może być to jeden z „dowodów” na istnienie Boga (musi istnieć byt najdoskonalszy, a to właśnie z definicji jest Bóg) lub też pozorny paradoks (czy wszechmocny Bóg może stworzyć kamień, którego nie potrafiłby podnieść). Chwila trzeźwej refleksji uświadamia dobitnie, że te magiczne formuły wypowiediane przez strażników Tajemnicy są po prostu pustymi żonglerkami słownymi. Wspomniane dziedziny prowadzą bowiem do (magicznej!) autonomizacji nazw językowych, a przez to do ich oderwania od czegokolwiek realnego, czy nawet sensownego. W istocie, czy może być coś bardziej *explicite* wręcz magicznego, niż: „A Słowo stało się Ciałem”?

Nasze myślenie w dużym stopniu, a nasza komunikacja interpersonalna prawie w zupełności są niewolnikami języka. Problem polega na tym, że praktycznie nigdy sobie tego stanu rzeczy nie uświadamiamy. A koniecznie powinniśmy to zrobić, aby się chociaż trochę od wszechwładzy języka uwolnić. Operując językiem należy pamiętać o całej głębi i bogactwie subtelności jego relacji z siecią pojęciową i światem zewnętrznym, a nie posługiwać się nazwami jak cepami, wierząc naiwnie w ich absolutny i niepodważalny, magiczny wręcz status.

Przyrównując język do sieci pojęciowej można by sięgnąć do następującej, z konieczności uproszczonej analogii. Język to twór fundamentalistyczny, uporządkowany, ścisły, narzucający naszemu myśleniu dyscyplinę, wojskowy wręcz dryl, ale także często to myślenie ograniczający, sprowadzający do utartych schematów. Sieć pojęciowa natomiast jest liberalna, wręcz anarchistyczna, w pewnej mierze chaotyczna, intuicyjna, przepelniona wolnością i skłonna do bujania w niebiosach. Na pytanie, któremu z nich należy przyznać prymat nad drugim, odpowiedź brzmi: żadnemu. Potrzebny jest złoty środek, taka symbioza języka i sieci pojęciowej, która eksponuje zalety, a ogranicza wady w tym związku. W rozumowaniu język, jako despota, ma sam z siebie zdecydowaną przewagę i dlatego trzeba sporego wysiłku, aby pozwolić dojść do głosu płodnym mrokom sieci pojęciowej. Dopiero w ten sposób ukształtowane idee należy wynieść na światło, ubierając je w możliwie adekwatne konstrukty językowe.

Oczywiście od języka się nie uwolnimy, i w żadnym razie nie powinniśmy tego czynić, ponieważ bardzo usprawnia on w sposób instrumentalny nasze myślenie (operowanie siecią pojęciową) oraz komunikację (wymianę znaczeń pomiędzy sieciami pojęciowymi różnych osób). Należy jednakże nieustannie pamiętać o jego ograniczeniach i wadach, przede wszystkim o narzucaniu światu faktów, które w najlepszym razie stanowią jedynie przybliżone i niedoskonałe odwzorowanie pewnych aspektów tego świata, a w najgorszym - nie mają z tym światem kompletnie nic wspólnego. Język ogromnie pomaga tworzyć obraz świata, ale także znacznie ten obraz upraszcza i zniekształca, a w skrajnych przypadkach powołuje do istnienia światy urojone. Dotyczy to w szczególności takich dziedzin działalności intelektualnej, jak religia i filozofia. Musimy zatem możliwie dogłębnie uodpornić się na magię języka, tak aby nie dać się bezkrytycznie omamić jego czarowi.